MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVIII NR 54 WARSZAWA 18 GRUDNIA 1938 R CENA NUMERU 80 GR

ZNACZENIE SAMORZĄDU

KONIEC roku bieżącego i rok przyszły będą okresem akcji wyborczej do rad miejskich, gromadzkich, gminnych i powiatowych. Wybory do rad miejskich i gromadzkich są bezpośrednie, uczestniczy w nich ogół ludności, liczącej ponad 24 lata. One mają dać wyraz prądom nurtującym w szerokich rzeszach. Wyniki tych wyborów zdecydują o fizjognomii samorządu gminnego i powiatowego, ponieważ rady gminne są wybierane przez kolegia, do których wchodzą wybrani uprzednio członkowie rad gromadzkich, a z mniejszych wiosek, liczących poniżej dwustu mieszkańców, w których przeważnie nie ma rad gromadzkich — delegaci wybrani przez zebranie gromadzkie. Z kolei rady powiatowe wybierane są przez kolegia, złożone z radnych i członków zarządów gmin wiejskich i miast.

Wybory samorządowe miałyby również dużą doniosłość polityczną, gdyby poprzedziły wybory sejmowe, ponieważ w kolegiach, ustalających kandydatury poselskie, na które może głosować ludność, bezwzględną przewagę posiadają delegaci ciał samorządowych. Ale mają one nie mniejszą wagę polityczną i obecnie, gdyż odbywać się będą bezpośrednio po głosowaniu do sejmu, ujawnić bowiem powinny, do jakich ugrupowań politycznych masy ludności żywią zaufanie.

Ordynacja wyborcza do sejmu przyczyniła się w sposób walny do nadania samorządowi terytorialnemu charakteru politycznego. Ale należy sobie zdawać sprawę, że usiłowania całkowitego usunięcia przy wyborach samorządowych polityki w szerszem znaczeniu wyrazu, jeśli nie są obłudne, są niewykonalne. Samorząd wprawdzie może być opanowany przez lokalne kliki, wyzyskujące uprawnienia i aparat administracyjny dla ciągnięcia osobistych zysków. Jest to jednak zjawisko patologiczne, a korupcja organów publicznych winna być tępiona. Jeżeli zaś pracy w samorządzie poświęcają się ludzie bezinteresowni, dbający o dobro ludności, to powinni posiadać jakiś określony program dla swojej działalności, wynikający z ogólnych założeń ideowych. Administracja sprawami gminnemi czy powiatowemi jest jednorodną z administracją sprawami ogólno-państwowemi i pogląd na zadania i kierunek jednej i drugiej działalności wypływa z takiego lub innego programu politycznego.

Zarzuty „partyjnictwa" w samorządzie mogą być objektywnie słuszne, ale przy głębszej analizie występujących na tem tle ujemnych zjawisk wynikają te niedomagania przedewszystkiem z braku wyrobienia politycznego, z podatności na demagogię nieuświadomionych mas. A właśnie udział ludności w samorządzie jest najlepszą szkołą wychowania obywatelskiego, tylko oczywiście rezultaty tego zadania wychowawczego nie mogą ujawniać się szybko. W klasycznym kraju samorządu — w Anglii, która chlubi się trwaniem instytucji samorządowych nieprzerwanie na przestrzeni swych dziejów, wybory do ciał samorządowych, z uwagi na częściowe ich odnawianie się, odbywają się co roku. Stają do nich te same stronnictwa, które zasiadają w izbie gmin, i te wybory mają charakter jakby manewrów, poprzedzających walną bitwę — wybory parlamentarne dają bowiem wskazówkę co do zmiany nastrojów politycznych w kraju. Wprawdzie w kilku znaczniej-

szych miastach angielskich utrzymuje się tradycja, że wybory do rady miejskiej nie odbywają się pod hasłami partyjnemi, ale badacze samorządu angielskiego stwierdzają, że miasta te bynajmniej nie wyróżniają się lepszemi wynikami swej gospodarki.

W epoce absolutnego państwa policyjnego samorząd był uważany za organizację społeczeństwa, dążącego do swobodnego rozwijania działalności publicznej, a krępowanego na każdym kroku przez administrację państwową. Stąd antagonizm między społeczeństwem a państwem, właściwie zaś, wszechwładną biurokracją. Z chwilą zapanowania rządów konstytucyjnych powstało dążenie do przezwyciężenia tego, tkwiącego we wspomnieniach przeszłości antagonizmu, właśnie dzięki wciągnięciu ludności do pracy w samorządzie. Ta praca miała być niejako podmurowaniem dla przedstawicielstwa narodowego. Jeżeli konstytucja powołuje szerokie rzesze, aby przez swych przedstawicieli miały wpływ na częstokroć bardzo zawikłane zagadnienia polityczne, gospodarcze i społeczne, to jest rzeczą konieczną, żeby przedstawiciele tej ludności mieli możność decydowania o sprawach bliskich, dla zrozumienia ogółu dostępnych, względnie prostych. W samorządzie mają oni możność nabycia koniecznego doświadczenia dla skutecznego zaspakajania potrzeb zbiorowych, dla urzeczywistniania zadań publicznych. Rzecz jasna, że osiągnięcie tego zasadniczego wychowawczo-politycznego celu samorządu wymaga, w granicach, zakreślanych przez interesy państwowe, wolności instytucyj samorządowych. Jeżeli w państwie panuje prąd jakobiński, nie uznający odmienności poglądów, nie tolerujący samodzielności obywateli w działalności zbiorowej, samorząd może być zredukowany do roli najniższego ogniwa wykonawczego w łańcuchu aparatu biurokratycznego.

W tradycji narodu polskiego ugruntowana jest zasada samorządności, zasada dobrowolnej służby publicznej, wykonywanej z poczucia obowiązku wobec zbiorowości, zasada inicjatywy obywateli w kształtowaniu życia gromadzkiego. System rządów policyjnych jest zupełnie obcy psychice polskiej. Dlatego zdrowy i trwały ustrój państwowy winien u nas oprzeć się na należycie zorganizowanym samorządzie, dającym pole do twórczych wysiłków wartościowych jednostek, pragnących bezinteresownie podnosić na wyższy poziom swoje środowisko i wzmagać w ten sposób siły narodu.

Obóz narodowy zawsze dążył do wprzęgnięcia jak najszerszych kół do pracy publicznej i wyrobienia w nich w ten sposób poczucia odpowiedzialności za losy narodu. Zawsze przywiązywał szczególną wagę do rozwoju instytucji samorządowych. Z podstaw ideowych obozu narodowego oraz z poglądów na zadania, które stają obecnie przed społeczeństwem polskiem w dziedzinie polityki wewnętrznej, wypływają naczelne wskazania, któremi kierować się należy w działalności samorządu. Przedewszystkiem chodzi o spolszczenie naszych miast i miasteczek; samorządy mogą bardzo wiele uczynić w dziedzinie zmniejszenia stanu posiadania żydowskiego przez popieranie polskiego przemysłu, rzemiosła i handlu i współdziałanie w wytworzeniu się licznej i silnej warstwy mieszczańskiej, która zapewni rozwój samorządu wiejskiego. Z tem zadaniem łączy się — równolegle do zwalczania przerostów etatyzmu w działalności gospodarczej państwa — przeciwdziałanie nieopatrznemu tworzeniu przez samorząd przedsiębiorstw, które nie są zakładami użyteczności publicznej, lecz stwarzają tylko konkurencję uprzywilejowaną dla przedsiębiorstw prywatnych, narażając równocześnie gminy na pokrywanie deficytów. Prowadzi to także do zbiurokratyzowania samorządu, które jest zaprzeczeniem jego istoty i sprawia, że wydatki personalne pochłaniają zbyt wielką część dochodów miejskich i zwiększają obciążenia ludności. Jeżeli się pragnie w naszych warunkach ekonomicznych rozwoju samorządu, należy dbać o jak najracjonalniejszą oszczędność, ograniczać wydatki „reprezentacyjne" i obliczone na efekt i imponowanie, a nie przyczyniające się do podniesienia kultury i dobrobytu ludności i do zadośćuczynienia społecznym obowiązkom samorządu.

K. B.

BIEDNA FRANCJA

WPRZEDDZIEŃ wypadków, które wstrząsnęły Europą i które choć na szczęście nie przemieniły się w niszczący wszystko kataklizm, zmieniły sposób myślenia tysięcy a może i milionów ludzi, wpadła mi ręce niezmiernie ciekawa książka. Na reklamowej opasce wydawca napisał, że mamy do czynienia z nowemi „Listami perskiemi". Lecz myślę, że się omylił, a raczej nie docenił znaczenia tego niewielkiego tomu. Leży bowiem przed nami jeden z najbardziej charakterystycznych a zarazem najbardziej beznadziejnych dokumentów naszej epoki.

Autor: René Benjamin, ten sam, który niedawno wydał doskonałą książkę: „*Mussolini et son peuple*". Tytuł: „Kronika z epoki zamętu" [1]). Treść: listy Francuza, przebywającego we Francji, do swej ukochanej, sanitariuszki wojskowej przy którymś z garnizonów w Syrii.

Mamy przed sobą wstrząsający utwór. Autor listów i owa Helena, której od czasu do czasu wyznaje swoją miłość — to artystyczne szczegóły.

---

[1]) René Benjamin: „*Chronique d'un temps troublé*" Plon, Paris 1938 p. 240.

Nad nimi jak chmura wisi prawda umierającego narodu. Francja jest treścią a nie kto inny. Francja: nasz sojusznik i przyjaciel od tak dawna — biedna, ginąca Francja!

Boleśnie rozlega się skarga autora, gdy pisze piórem swego bohatera: „U nas wszyscy są jak pijacy, którzy w pijaństwie szukają dla siebie złudzeń. Demagogia uczyniła nas narodem pijaków. Nie mamy ludzi wolnych, nie mamy sławnych. Nazwiska, które warto wymienić, są u nas jedynie wyryte na grobowcach! Kraj zbiedniał, wysechł, zaś rzeka, która przezeń przepływa, nie zrasza, ale spala. Ta rzeka — to pożądanie. „Czy więc może przyjść zbawienie? Czyż może przyjść człowiek?" Przecież starto wszystko, co nosi miano człowieka. Od sześćdziesięciu lat w republice urabia się wyłącznie wyborców, urzędników i masonów".

Szatan Asmodeusz wiódł niegdyś uczonego don Kleofasa Leandra Perez Zambulla ponad domami Madrytu a podnosząc dachy jak pokrywy garnka, ukazywał uczonemu życia ludzkie. Benjamin podnosi także ociekającą skraplającą się parą pokrywę. Sięga do dna tajemnic. Pochyla się nad ciałem swego narodu. Szuka w niem życia.

Hotel. Służba strajkuje. Nie dlatego, aby się czuła pokrzywdzona, ale dlatego, że tego wymaga partia. W stronę właściciela padają pełne cynizmu słowa. On zaś jest w rozterce: musi wyjechać, a jednocześnie boi się zostawić hotel w rękach zrewolucjonizowanych ludzi. Załamuje ręce: czemuż nie jest urzędnikiem. Mógłby się wówczas z nikim nie liczyć. Ma dwóch synów, lecz nie zostawi im swego przedsiębiorstwa; każdy z nich musi być urzędnikiem.

Odźwierny jest wodzem strajkujących. W tym wąsatym człowieku budzi się współczucie dla właściciela. Ofiarowuje się pilnować hotelu w czasie nieobecności patrona.

— Jakto — woła tamten — strajkujecie więc w końcu czy nie?

— Nie będę strajkować, jeżeli stanę na pana miejscu — odpowiada odźwierny.

Proste i jasne. Walka o rzekome prawa, to tylko walka o zmianę posiadaczów. Pożądanie i egoizm wyrażone w cynicznej formie.

Inny obrazek. Bohater idzie ulicą i w pewnym momencie zostaje oblany przez pracującego robotnika farbą. Tamten — możnaby sądzić — powinien się tem przejąć. Nic podobnego. Z drabiny spadają ostre słowa:

— Patrzcie na niego! Nic mu przecież nie zrobiłem, a chce udawać ofiarę.

Bohater próbuje wytrzeć ubranie. Znów słyszy:

— Nie trudź się tak bardzo! Niedługo mnie zastąpisz.

— Wtedy pewno ty wejdziesz na moje miejsce?

— Być może.

— Ale ja pracuję piętnaście godzin na dobę.

— Piętnaście godzin!

Rozejrzał się wokoło, jakby szukał kamienia, by nim we mnie cisnąć. Nic nie znalazł. Zacisnął pięść.

— Nie masz prawa tego robić — słyszysz?!

Taki jest stosunek do pracy. Doktryna zabiła rzeczywistość; rozkaz partii zapanował nad zdrowym rozsądkiem.

— Co będziecie robić — pyta bohater innego znów człowieka — gdy nowe wynalazki uwolnią wszystkich od pracy?

— Oh, nauczymy się nic nie robić.

Ideał to nieróbstwo. Ideał to pożądanie i chciwość. Jakże tu milczeć. A przecież: „jest zdanie drogie dla każdego Francuza. Ceni on je jak źrenicę oka. W nim wyraża się jego liberalizm, mądrość i wstręt do gwałtu. Tem zdaniem jest: należy szanować wszystkie idee."

Przyjmijmy więc je, wszystkie, choćby miały charakter absurdów i zbrodni. Oto moralność hotentocka. Damy sobie wejść na głowę każdemu z jego amoralizmem i podłością, aby broń Boże, nie urazić jego ideologii. Przyszedł do nas człowiek wyznający religię nienawiści. Nie sprzeciwiajmy się mu, bo on w te swoje bezsensowne rojenia... wierzy. Wkradł się do naszego domu amoralista, wielbiciel cudzych żon, rozbijacz małżeństw. Przyjmijmy go razem z jego złodziejską moralnością. Niech skradnie nam nasz spokój i ciszę, abyśmy tylko nie urazili jego „ideologii"!

A kobieta Francji? A dziedziczka Joanny czy Teresy? Uczy się stu rzeczy a o jednej zapomina, o tej jednej, która ma z niej uczynić żonę i matkę. Umysł wyłamany w kierunku przeciwnym naturze wywołuje nerwowe choroby. Zaczynają się gonitwy po lekarzach, szarlatanach i oszustach. „Nasze matki — powiada Benjamin — miały religię. Ich córki mają tylko medycynę".

Bohaterowi zdawało się, że znalazł zbawcę. Jest nim hr. Saint-Remy, wódz partii narodowo-katolickiej (coś *à la* de la Roque). Wprawdzie jego ludzie nie umieją się zachować, ale mają dużo dobrej woli. Przywiązani są także do Kościoła. Słuchają stale Mszy św., nadawanej przez radio i wcale im to nie przeszkadza, że akurat w tym samym czasie jedzą śniadanie...

Walczą o religię, a jednocześnie są jakby trochę ślepi. Zdają się nie widzieć ani teatrów ani kin, w których propaguje się rozwody i wolną miłość, ani gazet, pełnych sensacyjno-pikantnych reportaży i pornograficznych romansów, ani broszur entuzjazmujących się sztucznymi poronieniami, ani reklam, których treść jest grozą dla wewnętrznych sił narodu. Na domiar złego w pewnym momencie następuje katastrofa: Saint-Remy poniesiony przez konie przyznaje się, że roztrwania pieniądze dawane mu przez jego zwolenników, zaś w ukryciu utrzymuje dwie kochanki. Mit zbawcy narodu rozwiewa się nagle w powietrzu.

Młodzież! Może tam tkwią zadatki ocalenia? Ta młodzież wychowywana jest przez splugawionych własną amoralnością wychowawców i rodziców. Bohater jedzie odwiedzić swego syna. Znajduje go w środowisku ludzi głupich i ograniczonych do najwyższego stopnia, których dni upływają między romansem, kinem a idiotycznym konkursem reklamowym. Książki, z których chłopiec się uczy, mają posmak kretynizmu.

— Chciałbym wiedzieć, mój drogi — pyta ojciec — jak ty sobie wyobrażasz życie. Masz jedenaście lat. Niewątpliwie pewne rzeczy już sobie wyobrażasz, pewnych rzeczy pragniesz. Może masz jakieś żądania... Powiedz. Chcesz być żołnierzem? Wielkim oficerem? Dowodzić całą armią twego kraju?

— Nie myślę, abym tego chciał.

— A może chcesz być mówcą? Może chcesz uczyć dobrego? Pociągać masy ku pięknu?

— Nie, na honor, nie.

— Więc kim chcesz być?

— Chciałbym być różdżkarzem!

Chcesz szukać wody, której ludzie pragną — myśli ojciec. I jest szczęśliwy. Czy jednak nie przedwcześnie.

W chrzęście podkutych butów po bruku, w warkocie śmigieł, w łoskocie czołgów i samochodów pojawia się groza wojny. Gdzieś, daleko o setki kilometrów zawisła nad skrawkiem ziemi nie francuskiej, ale nad ziemią, gdzie honor i chwała Francji pełnią bezcielesną straż. Wojna grozi. Wojna za sprawę, być może, niesłuszną, za wielką omyłkę narodu, ale za sprawę, z którą nierozdzielnie splątał się honor Francji.

Iść czy nie iść?

Na ulicach panika. Drżą nerwowo usta. Runęły złudzenia. Na nikogo liczyć nie można. Nawet na Boga — bo Bóg został wypędzony z domów i sal, z rodzin, których żaden węzeł nie trzyma, ze szkół uczących wciąż zeszłowiekowego materializmu, z dusz ludzkich.

Ulice wrą: nie chcemy wojny! Boimy się, boimy się, boimy się.

Komunikat urzędowy: „zostały zwołane wiece komunistyczne. Odczytano na nich następujące polecenie Moskwy: chcemy wojny, wojna wyswobodzi proletariat! I zaraz wersje: rząd ucieka. Rozpoczęto już ewakuację Paryża. 250.000 robotników metalowców pozostanie w fabrykach; jest to jedyna szansa, aby zawładnąć kapitałem i ogłosić republikę Sowietów“ (Gringoire).

Jeanneney powiedział w tym miejscu głosem drżącym: „a ja sądziłem że komuniści są patriotami” (Gringoire).

„Któż może sądzić — pisał „Gringoire“ w tych gorących dniach — że Francja wyjdzie wielką z tej awantury?“ Pokój ocalił Francję i przed ruiną i przed rewolucją. Ale nie ocalił jej honoru. Wojny mogło nie być i — prawdopodobnie nie byłoby jej. Ale byłaby postawa godna żywego narodu nie zaś ciała, które choć jeszcze ducha nie wyzionęło, już rozpada się i gnije.

Daleko od nas na zachodzie Europy leży kraj, który przez setki lat dźwigał na swych barkach losy Europy i misję chrześcijańską świata. Ten kraj był naszym najserdeczniejszym przyjacielem. Patrzyliśmy z dumą i z podziwem na ziemię, która wydawała w różnych epokach: Ludwika, Joannę czy Teresę. Czuliśmy wspólnotę naszych dążeń.

Dziś to się skończyło. Ma rację Benjamin: imiona ludzi, z których Francja mogłaby być dumna, czyta się tylko na pomnikach grobowych. Na pustyni leży Foucauld, na polach Szampanii — Péguy i Psichari. O geniuszu E. Hello nie wie dziś nic żadna antologia literatury francuskiej. Ostatniego z żyjących Claudela potępiono za podziw dla bohaterskiej, narodowej Hiszpanii. Wszystko zaś inne jest albo zgnilizną albo małością.

Straciliśmy przyjaciela. Musimy ufać tylko sobie. I co ważniejsze, musimy wiedzieć, że jego misja stała się obecnie naszą misją.

JAN DOBRACZYŃSKI

CATENA MUNDI

(RZECZ O PÓŁWYSPIE I ŚWIATOPOGLĄDZIE BAŁKAŃSKIM) (Dokończenie)

II

OD BITWY na Kosowem Polu (1389) ostatecznie, a częściowo już przedtem, Bałkany stają się terenem tragicznego eksperymentu cywilizacyjnego, bodaj że bez precedensów w historii. Oto najeźdźca zajmuje cały kraj na przeciąg pięciu wieków i w ciągu tego czasu ani sam nie ulega najechanej przez siebie cywilizacji, ani też nie udaje mu się własnej cywilizacji trwale tubylcom zaszczepić. Obie żyją w dwuch warstwach, nie mieszając się z sobą.

Cywilizacja podbita otrzymała warunki gorsze, ale możliwe do życia i przeżycia. Zatrzymała się w rozwoju i wytężyła wszystkie siły, aby tylko przetrzymać. Wróciła do form najprymitywniejszych, ale czysto rodzimych; zamieniła się w surowe, prawie biologiczne bytowanie w ustroju patryjarchalnym, w chwaleniu Boga po swojemu, w pieśni, w stroju, w tańcu. W tej regresji tkwi tragizm, a może i właściwa dusza Bałkanów.

Gdy się ją zrozumie, to wówczas pojmuje się już łatwo tę przedziwną i powszechną wśród ludów bałkańskich pamięć wypadków historycznych, które zdarzyły się przed pięcioma wiekami, a nawet wcześniejszych. Klęska Kosowego Pola i świetność czasów cara Duszana lub Symeona są na Bałkanach wspomnieniami niemal wczorajszemi.

Czy oprócz zachowania samego życia tragiczna ofiara słowian bałkańskich utrzymała ciągłość cywilizacyjną? Ideolodzy bałkańscy twierdzą, że tak — i nawołują do ostrożnego czerpania wzorów z Zachodu, do poprawiania tych wzorów w oparciu o zachowane pierwiastki rodzinne.

Ale zważyć trzeba wbrew temu, że jednak renesans bałkański (dokonany w okresie od powstań jugosłowiańskiego i greckiego przeciw Turkom do końca wojny światowej) nie polegał na nawiązaniu do tradycji i na wskrzeszaniu dawności, lecz w rzeczywistości był prawdziwą rewolucją cywilizacyjną. Polegał na gwałtownem zastąpieniu pięciowiekowej wschodniej cywilizacji tureckiej (albo też dwu warstw cywilizacji ze słowiańską pod spodem) — cywilizacją zachodnioeuropejską. Rewolucja ta dokonywała się etapami, w miarę odpadania poszczególnych obszarów od imperium ottomańskiego. Można ją uważać za zakończoną i to nie tylko w odniesieniu do bałkańskich państw chrześcijańskich, lecz również i do Turcji Kemala Ata-Turka. Oczywiście, zakończoną w sensie wygaśnięcia tempa rewolucyjnego, ale nie w sensie wydoskonalenia procesu cywilizacyjnego. Obecnie trwa okres przejściowy, charakteryzujący się powstaniem państw narodo-

wych (sześć państw: Jugosławia, Bułgaria, Grecja, Albania, Rumunia, Turcja), utworzonych na zasadach cywilizacji Europejskiej, t. j. w każdym razie pozbawionych pierwiastka religijnego bizantyjsko-muzułmańskiego.

„Poprawienie” cywilizacji zachodnio-europejskiej miałoby znaleźć oparcie na rodzimych pierwiastkach: „heroizmu” i „cnoty”; na tolerancji religijnej, narodowościowej i społecznej; na równowadze między miastem (urbanizacją) a wsią; na ograniczeniu wielkości kapitałów indywidualnych i sprowadzeniu ich do właściwej roli społecznej; na wskrzeszeniu współdzielczości i współwłasności form (tak charakterystycznych dla Bałkanów); na harmonii społecznej; wreszcie na równowadze ducha i techniki. Ma się wytworzyć „duch bałkański”, który umożliwi dostosowanie cywilizacji europejskiej do potrzeb Bałkanów. W tym celu nawołuje się do współpracy i łączności narodów i państw bałkańskich. Jakoby wschodzi już „zorza bałkańskiej harmonii politycznej i bałkańskiego humanizmu”. Jakoby zasada „Bałkany dla narodów bałkańskich” już się urzeczywistniła i ogień pod „kotłem bałkańskim” już ugaszony został.

Otóż w tem miejscu wypadnie przerwać tok rozumowania ideowców bałkańskich kilkoma uwagami.

W istocie cywilizacja zachodnio - europejska posiada nie tylko przeróżne niedomogi, ale także przeżywa przełom; z drugiej strony Bałkany znajdują się w szczęśliwem położeniu początkowem, szczęśliwem zwłaszcza pod względem ustrojowo-społecznym i pod względem surowości ekonomicznej, w której można się ustrzec przerostu maszynowego i industrialnego. Ale z tego nie wynika, by wpadać w drugą ostateczność (jak to wykaże się dalej) i oderwać się od tego wszystkiego, co jest nieśmiertelnem i niezniszczalnem dobrem całego świata, wyniesionem z Europy zachodniej. To jest przedewszystkiem — od prawdziwej cywilizacji rzymskiej.

Na Bałkanach głęboko zakorzenił się strach przed Rzymem i anty-rzymski kompleks. Można go wyrozumieć, gdy się spojrzy na stosunki polityczne w przeszłości, choćby tak niedawnej, jak jeszcze przed wojną włosko-abisyńską. Czegóż to Duce nie czynił, by stanąć mocno na Bałkanach! I choć to okres bynajmniej nie zamknięty jeszcze, raczej cisza przed burzą — to jednak z drugiej strony w kompleksie anty-rzymskim na Bałkanach nie sposób nie dopatrywać się jeszcze innej ręki, tej—która przeciw Rzymowi w całym świecie pięść zwiniętą wznosi. Jej rola na Bałkanach znacznie ułatwiona przez mistyfikację, przez możność wmawiania identyczności Rzymu politycznego i cywilizacyjnego.

W nawiasie dodam, że na tem tle właśnie do Polaków żywi się na Bałkanach pewną niechęć i nieufność, jako do „niewolników” Rzymu.

Jeszcze jest druga domena ideologiczna, od której zawiewa znanym duchem pan—europeizmu i wszystkich jego błogosławieństw. To pan — bałkanizm, Stany zjednoczone Bałkanów. Byle Europejczycy nie mieszali się do nas (idea zdrowa i słuszna), to my doprowadzimy do szczęśliwości. Etapem praktycznym pierwszym ma być unia jugosłowiańsko-bułgarska (co daj Boże), dalej następują nieodzowne dobudówki: najpierw prymat Słowian, nowa era słowiańska, Słowianie liczeni na miliony i obszary, a wreszcie zjednolicenie narodów i... szczęście.

Przytaczam całość tych planów raczej dla ilustracji, że wątpliwe ideje szybciej się plenią, niż proste i zdrowe, a bynajmniej, bym miał wagę przykładać do ich siły trucicielskiej, tak dobrze znanej nam z doświadczenia. Bałkany zbyt są na to młode i żywotne.

Na zakończenie przytoczę jeszcze trudności, z jakiemi muszą się borykać cywilizatorzy bałkańscy. Oprócz kompleksu anty-rzymskiego prześladuje ich specyficzny kompleks niższości „bałkańskiej”. Walczą z nim na wszystkie strony i z taką zaciętością, że chwilami wydaje się, iż jeszcze głębiej pogrążają się w urojoną „niższość”.

Oto na czem polega cierpienie, według streszczenia różnych rozpraw.

Nazwy: Bałkany i Bałkańczycy nie dźwięczą mile w uszach Europejczyka.

Jednak doprawdy nie ma czego się wstydzić i zamieniać tych nazw na „Południowy - wschód”, lub „południowo-wsch.-Europa”.

Pierwszymi, którzy puścili w świat fałszywą naukę o Bałkanach, byli Rzymianie. Oni to, choć uczniowie Greków, spoglądali na Bałkany z lekceważeniem, a Greka nazywali pogardliwie „Graeculus”. Katon, Cycero, Wirgiliusz, Tacyt utwierdzili przekonanie, że Grek bałkański (Bizantyńczyk), to człowiek wiarołomny, rozwiązły i pozbawiony wartości moralnej. Ten sam sąd rozpowszechniały potem szkoły jezuickie, rozszerzając go na całe inowiercze i muzułmańskie Bałkany.

Historyk angielski Gibbon (1737—1794) i jego szkoła dodali do tego jeszcze i legendę o najeździe barbarzyńskich Słowian, którzy zniszczyli starożytną kulturę Bałkanów. Bałkany słowiańsko-tureckie zasługują według niego na wzgardę zupełną, a Bałkańcycy mają być najobrzydliwszą mieszaniną wszystkich niższych ras.

Wreszcie monarchia Habsburska prowadziła dalej dzieło oszczerstwa, napominając Zachód, że Bałkany nadają się jedynie tylko do traktowania jako kolonia.

Bohaterskie walki chrześcijan bałkańskich o wolność i odnowiona Turcja dały dowód światu, że nie ma powodu do wzgardliwego traktowania Bałkanów i Bałkańczyków. Bałkańska poezja, melodia, a przedewszystkiem tolerancja, nie znająca inkwizycji, obudziły podziw Europy.

Europa posiada skuteczny sposób do obrony przed „barbarzyńcami” z Bałkanów: nie mieszać się do spraw bałkańskich. Będzie to równocześnie najlepsza pomoc dla Bałkańczyków od kulturalnej Europy.

Najazd turecki tak potężny i tak długotrwały wymazał wobec świata imiona ludów bałkańskich. Gdy zaczęły się budzić i powstawać, nieświadoma rzeczy Europa nie mogła się połapać, mieszała Serbów z Bułgarami, to znów z Albańczykami; jedynie o Grekach miała niejakie pojęcie.

Z Grekami łączy się inna ciekawa historia. Mianowicie w żądzy znalezienia lekarstwa na „niższość”—Bałkańczycy eskamotują Hellenów i Hellenizm jako wyłączną zasługę Bałkanów wobec świata.

Cały „lux” nie z Hellady, tylko przedewszystkiem z Bałkanów. A więc podwaliny cywi-

lizacji zachodnio-europejskiej: pismo, wszystkie sztuki i nauki, początki techniki—wszystko z Bałkanów; monoteizm z sąsiedniej Anatolii. Arystoteles—„Dardanelae” z pod Skoplja, Owidiusz Nato—Ilir i t.d., i t.d.

Jeszcze ciekawsze, że (w poszukiwaniu argumentów przeciwko kompleksowi niższości) nie zawahano się wybielić Turków i okresu ich najazdu. Oto co się mówi na ten temat:

Turcy nietylko ochrzcili półwysep mianem Bałkanów, lecz także zapoznali chrześcijan bałkańskich z muzułmańską ochroną słabych i ubogich oraz z różnemi formami dobroczynności. Stąd też ludzie prości wspominają Turków jako pańskich i szczodrych, lecz nie jako dzikich, jak ich sobie wyobrażali Europejczycy.

Turcy dali Bałkańczykom oświatę w miastach, urządzenia municypalne, pozwolili na zachowanie niemuzułmańskiego obyczaju i miejscowego zwyczaju sądowego.

Ponadto pozostawili wsi całkowitą swobodę, jeśli nie liczyć niewielkiego haraczu. Toteż wieś zakwitła wspaniałym folklorem i przechowała ustrój patryjarchalny wielkich rodzin — klanów. Wpoili przekonanie, że sąsiad jest bliższy od krewniaka i stworzyli wszystkie składniki potrzebne do rozkwitu tolerancji religijnej i społecznej. Islam, zezwalający na małżeństwa dwu—wyznaniowe, był dobrym sprzymierzeńcem.

Inwazja turecka otworzyła na nowo pra-zdrój ludowej kultury słowiańskiej z jej przebogatą literaturą w pieśni ustnej. Turcy odepchnęli kulturę chrześcijańską — bizantyjską, która niwelowała staro-bałkańską kulturę grecką i słowiańską. Narodowe oblicze literatur bałkańskich jest zasługą Turków, choćby mimowolną.

Chrześcijanie bałkańscy przez cały czas panowania tureckiego nie brali udziału w pracy kulturalnej i politycznej państwa osmańskiego, nie służyli nawet w wojsku. Zamiast tego mieli możność rozwijać cnoty osobiste, przedewszystkiom cnotę heroizmu, jako „hajducy“, „uskoki“, „komitadżie“, dalej cnotę ducha poświęcenia i ofiary.

Wspomniało się poprzednio o „Stanach Zjednoczonych Bałkanów“. Droga do nich daleka, o wiele, wiele dalsza niż powrót do „Wetterwinkel Europas“, lub do stanu „kotła“ bałkańskiego. Granice państw bałkańskich będą wymagać wielu jeszcze przesunięć i poprawek, przedewszystkiem na korzyść państwa bułgarskiego. Wystarczy tylko spojrzeć na nienaturalne odcięcie Bułgarów od morza Egejskiego, którego fale widzi się z wyżyn południowej granicy Bułgarii.

Obecny stan pokoju politycznego na Bałkanach należy uważać za chwilową przerwę i nie można go brać za przykład dla wojowniczej Europy, czego Bałkańczycy ostatnio tak nadużyli.

Ale ideja unii jugosłowiańsko - bułgarskiej posiada mocne korzenie w rzeczywistości, choć jeszcze słabe w dzisiejszości. Stworzenie imperium Słowian południowych? Bałkany znów zmienią oblicze?—Bałkany są kontynentem bardzo skomplikowanym.

A. D.

ARCYBISKUP TEODOROWICZ

PODALIŚMY w poprzednim numerze wiadomość o śmierci znakomitego kapłana i obywatela kraju ś.p. arcybiskupa Józefa Teodorowicza. Należy się czytelnikom życiorys Zmarłego i charakterystyka, na jaką z tak bliskiego dystansu historycznego zdobyć się można.

Piszącemu te słowa przypomina się uroczyste nabożeństwo galowe, odprawione równo 20 lat temu, 15 grudnia 1918 r., w warszawskiej katedrze Św. Jana. Bilet wejścia do kościoła opiewał, że nabożeństwo odprawione będzie „z powodu triumfu Koalicji dla uproszenia pomyślnego dla Polski wyniku rokowań pokojowych“.

Czekaliśmy, co osiągnie Dmowski na tych rokowaniach. Granic jeszcze nie było. Nie było jeszcze ziem zachodnich z Poznaniem, nie było Śląska, nie było ziem wschodnich. We Lwowie wrzała walka z Ukraińcami. Uśmiechające się Warszawie szczęście pełne było łez, serce pełne niepokoju. Nadzieje tłoczone przygnębieniem, niepewnością najcięższą, bo wynikającą z braku ustalenia, kto wcieli w życie jaźń polityczną Polski. Rozwiały się coprawda rządy lubelskie, ale nikt nie budował nadziei na rządach Moraczewskiego czy Daszyńskiego.

Pontyfikalne nabożeństwo odprawił b. Regent ks. arcybiskup Kakowski w asyście licznego kleru. Przed ołtarzem zasiadł w fotelu Naczelnik Państwa, Komendant.

W pewnej chwili wszedł na ambonę ponad las sztandarów arcybiskup Teodorowicz. Zwróciły się ku niemu oczy, otworzyły dusze, bo to był ten, którego słowo było zawsze polskie, wierne tradycjom, mądrze przewidujące. Kazanie znakomitego mówcy chwytało sedno chwili dziejowej. Było to chyba pierwsze od r. 1916 słowo polityczne prokoalicyjne.

Kaznodzieja wywodził linię historyczną, jak się wiąże z przeszłością to, co Polskę czeka. Co się stało, jest epizodem w dziejach wielkiego narodu. Po chwilowem zawieszeniu państwa Polska znowu podejmuje swój bieg mocarstwowy.

Czy ambona tak wysoka, że tak utracony kontakt rzeczywistości z poziomem kaznodziei? Była to historyczna chwila przez to, że nastawiająca Warszawę na właściwe tory rzeczywistości dziejowej.

Obecni przed ołtarzem reprezentanci Państwa i Kościoła wsłuchiwali się w hymn dziękczynny patriotycznego kaznodziei, każdy bowiem szukał dla siebie w tej smudze światła miejsca dla swej dziejowej zasługi. A głos mówcy nabrzmiewał, jak rozkołysany dzwon, szukając w sercach, czy odezwie się moc, gdy wzywa do obrony Lwowa.

Serce kaznodziei krwawiło się wtedy losem Lwowa. Lwowianinem był, ale nic, co polskie, nie było mu obcem.

*

Daty życia ś.p. arcybiskupa Teodorowicza podajemy za Katolicką Agencją Prasową:

Ś. p. ks. arcybiskup Józef Teodorowicz urodził się w Żywaczowie koło Horodenki dn. 25 lipca 1872 r. Po otrzymaniu matury w gimnazjum w Stanisławowie studiował teologię na uniwersytecie we Lwowie, po ukończeniu której został wyświęcony na kapłana obrządku ormiańsko-katolickiego przez arcybiskupa Isaakowicza. Pierwsze lata pracy duszpasterskiej spędził ksiądz Teodorowicz na stanowisku wikariusza w Stanisławowie i we Lwowie, a następnie proboszcza w Brzeżanach. W r. 1897 został mianowany kanonikiem gremialnym. Po śmierci arc. Isaakowicza został wybrany przez kler jako kandydat na arcybiskupa i przedstawiony Stolicy Apostolskiej do zatwierdzenia, co też i nastąpiło w r. 1901. Sakrę biskupią otrzymał ks. arcybiskup Teodorowicz z rąk kardynała Puzyny dnia 2 lutego 1902 r.

Ś.p. Arcybiskup Teodorowicz przed wojną był członkiem Sejmu galicyjskiego, zasiadał w Izbie Panów i w Radzie Państwa w Wiedniu. Po odzyskaniu niepodległości był posłem do Sejmu ustawodawczego, a następnie krótko senatorem.

W roku ubiegłym ks. Arcybiskup Teodorowicz obchodził złoty jubileusz kapłaństwa. Miasta Lwów i Brzeżany mianowały go swym obywatelem honorowym.

Rzeczony organ katolicki tak charakteryzuje życie Zmarłego:

Zgon ś.p. arcybiskupa Józefa Teofila Teodorowicza okrył żałobą całą Polskę. Mimo, że był biskupem jednej diecezji, promieniował swą twórczą i niespożytą działalnością na cały kraj, zarówno za czasów niewoli, jak i w Polsce odrodzonej. Zamknięta została księga pięćdziesięciu jeden lat pracy kapłańskiej i tyluż pracy obywatela, męża stanu, pisarza, wychowawcy narodu.

Na zawsze pozostanie w pamięci rodaków niezłomna postawa ś.p. arcybiskupa Teodorowicza w chwilach trudnych i przełomowych dla Polski, jego „*contra spem spero*". Wiarę w rychły już świt niepodległości niósł ze sobą poza kordony austriackie, do b. Kongresówki, do b. Księstwa Poznańskiego, podnosząc wszystkich na duchu, walcząc z biernością i zapalając do czynów. Był złotoustym kaznodzieją, do głębi poznał Pismo św., z którego czerpał nie tylko wskazania ale natchnienie.

Jako książę Kościoła nie mógł w pewnych momentach decydujących nie zajmować postawy politycznej, która wszakże, w najgłębszem ujęciu, jest postawą moralną. Postawa ks. arcybiskupa, we wszystkiem, co mówił i czynił, była jednolita, konsekwentna, wierna stale podstawowym wskazaniom etyki chrześcijańskiej. Nigdy nie zamykal swych trosk i dążeń wytycznych w granicach jednej sfery czy grupy społecznej; obejmował myślą i uczuciem zawsze cały naród. Ale w razie konfliktów stawał zawsze po stronie pokrzywdzonych, bronił zawsze sprawiedliwości. Potęga wiary, ogrom wiedzy, konsekwencja logiczna i moralna, sprawiają, że polemistą jest niezrównanym, przeciwnikiem groźnym.

Przed wojną wystąpił w Radzie Państwa przeciw reformie wyborczej dla tego, że (jak to po tem uzasadniał) miała „uprzywilejować miasta kosztem wsi, żydów — kosztem chłopów". Protestując przeciw określeniu kwestii socjalnej, jako „*malum necessarium*", dostojny Pasterz mówi: „nie jest ona wcale *malum necessarium*; jest ona problemem socjalnym, nad którego rozwiązaniem należy pracować". Tylko, że dla Kościoła jest to problem „sprawiedliwości i miłości" a nie, jak dla niektórych polityków,—„siły i spekulacji".

Niebawem miał z większą jeszcze odwagą cywilną wystąpić nazewnątrz wobec austriackich władz zaborczych w obronie prawdy, sprawiedliwości i historycznych praw narodu polskiego do zjednoczenia i niepodległości.

W lecie i w jesieni 1917 r. w Izbie Panów parlamentu austriackiego wygłosił pamiętne dwie mowy, w których z wielką powagą i siłą zdemaskował i napiętnował dawny c. k. polityczny system austriacki, małoduszny, policyjny, pysznie i dokuczliwie tyrański wobec „własnych ludów" a uniżenie służalczy wobec sprzymierzonych Niemiec, kierujących się tylko własnym interesem i bismarckowską zasadą: siła przed prawem.

Dnia 30 października 1917 r. ks. arcybiskup zabrał głos ponownie przy dyskusji budżetowej. W sposób miażdżący demaskował raz jeszcze obłudną taktykę państw centralnych wobec Polski. A ponieważ książę przewodniczący Izby austriackiej uznał był za stosowne obrazić się raczej w imieniu Niemiec niż Austrii, przeto tym razem zaatakował politykę obu tych państw za pomocą krytycznych w stosunku do niej cytat, zebranych wyłącznie niemal z dzieł poetów, myślicieli i polityków... niemieckich (którym wtedy wolno było jeszcze wypowiadać się samodzielnie i krytycznie). Powołał się następnie na fakty: na niemieckie projekty aneksji i podziału Polski, na niszczenie lasów i fabryk polskich, na wywożenie setek tysięcy polskich robotników, na poniżenie warszawskiej Rady Stanu, na bezsensowną przysięgę, proponowaną wojsku polskiemu, na rozbicie i więzienie legionistów. W szczególnie mocnych, płomiennych, oburzeniem tchnących słowach ujął się za krzywdą Legionów. Za to mu potem podziękowanie we Lwowie złożyła specjalna delegacja Legionistów.

Wreszcie, jeszcze ostrzej niż przedtem, potępił hasło „siła przed prawem" oraz, powoławszy się na przeciwstawioną mu właśnie wtedy w piśmie Ojca św. zasadę sprawiedliwości, oświadczył, że jedynem, na sprawiedliwości opartem, realnem dążeniem wszystkich Polaków jest—restytucja. To hasło „*restitutio in integrum*", po raz pierwszy szczere i otwarte, wolne od obsłon frazeologii dyplomatycznej, rozległo się, jak pierwszy grzmot wiosenny w zatęchłej, układnej atmosferze austriackiej Izby Panów. I zrobiło zrozumiałe wrażenie. Do tego stopnia, że mimo ostrzejszego o wiele tym razem tonu, nie ośmielono się reagować, pominięto rzecz milczeniem.

Mowa, w której wypowiedział się ten „odosobniony" — jak Austriacy się pocieszali — głos, przetłumaczona na polski i wydana p.t. „Z dziejowej chwili", rozeszła się po całej Małopolsce, przyczyniając się wybitnie do uświadomienia, wzmocnienia i skupienia polskiej opinii w tej dzielnicy.

Wkrótce potem ks. arcybiskup przemówił znowu. Tym razem bezpośrednio do Polaków, na nabożeństwie żałobnem za duszę Sienkiewicza

w kościele Mariackim w Krakowie. I tę mowę wydrukowano p.t. „Wobec ideałów Sienkiewicza”. Kładzie tu autor nacisk na słowa Sienkiewicza, że „hasłem wszystkich patriotów powinno być: „przez Ojczyznę do ludzkości“, nie zaś: „dla Ojczyzny przeci v ludzkości“. I wskazuje na głęboko chrześcijański podkład męstwa Sienkiewiczowskich bohaterów, że „szczepienie obłudy, cynizmu i kłamstwa idzie na marne a odrodzenie znaleziono na drogach sprawiedliwości i prawdy“.

Przez cały czas wojny światowej ks. arcybiskup Teodorowicz nie tylko ostrzegał, przemawiał, pisał, ale rozwijał także nieustanną żywą działalność charytatywną i opiekuńczą w stosunku do wszystkich.

Po wojnie „klimat“ psychiczny na świecie i w szczególności także w Ojczyźnie naszej się zmienił. W życiu publicznem zwłaszcza. Dla ludzi tego pokroju, tej ewangelicznej wiary, niezłomnej konsekwencji i odwagi moralnej, co ksiądz arcybiskup Teodorowicz, zabrakło miejsca. Po kilkuletnim udziale w pracach parlamentu polskiego, gdzie niejedną ciężką przebył chwilę, ks. arcybiskup usunął się z politycznej widowni.

Minął czas dłuższy, nim znowu przemówił. Tym razem w starej swojej katedrze ormiańskiej, na zakończenie roku 1930. Mowa ta wyszła również w druku p.t. „Z obecnej chwili“. Powołuje się na słowa Focha do Polaków:

„Nie wy sami, nie my, narody z wami sprzymierzone, ale Bóg sam cudem was wskrzesił”. Poczem stwierdza: „lecz... serce narodu dla pukającego o wejście Chrystusa zamknięte... nie rządy, partie i ludzie mają służyć Ojczyźnie, lecz służką jest właśnie ona, o ile szafarzy stanowiskami korzyściami i dobrami”.

Jako jedyna przeciwwaga interesom osobistym, pozostała sprawiedliwość. Albowiem kiedy społeczeństwo... patrzy na zło obojętnem okiem i milczy, wówczas zło, czelne przemyślne i śmiałe, narzuca takiemu społeczeństwu swoją opinię i usypia sumienie... A wtedy, gdzież to się rozeznać pomiędzy dobrem i złem”?

„Nie na tość nas wskrzesił Panie... — kończy modlitwą, nie na tość nas wolnością obdarzył, byśmy sami u siebie w niewoli jęczeli ducha... Ty nami kieruj i rządź nami”!

W ostatnich latach rozpoczął ks. arcybiskup pracę nad wielkiem dziełem o życiu Chrystusa Pana. Wydane dotąd dwa tomy zdumiewają ogromem erudycji, ścisłością konstrukcji, głębią uczucia. W drugim tomie rozprawia się z błędami znanej książki Zielińskiego: „Hellenizm i judaizm“. Z cechującą go zawsze konsekwencją i wielką odwagą cywilną zwalcza tu również i do nas płynące z Trzeciej Rzeszy te zboczenia rasistowskie, które rikoszetem uderzają w same podstawy chrześcijaństwa. W najbliższym czasie ukazać się ma na półkach księgarskich tom trzeci.

Stanisław Głąbiński swoje gorące wspomnienia o Zmarłym zakończył („Słowo Narodowe“) temi słowy:

„Słusznie powiedziano, że cała Polska była diecezją tego wielkiego Księcia Kościoła i cała Polska skon Jego opłakuje. Zeszła nam z widowni wielka pochodnia wiary i miłości narodu, ale pozostanie na zawsze w pamięci i w duszy narodu tak samo, jak wielki Skarga po śmierci stał się narodowi jeszcze droższym i bliższym”.

*

Pogrzeb ś.p. arcybiskupa Teodorowicza odbył się we Lwowie z nadzwyczajną okazałością. Najbardziej znamienną stroną pogrzebu, odpowiadającą tej linii, którą Zmarły kroczył przez życie, było, że pochowany został na cmentarzu Obrońców Lwowa na cmentarzu Łyczakowskim.

W pogrzebie wzięło udział dwudziestu biskupów, celebrował nabożeństwo w Katedrze Prymas ks. Kardynał Hlond, kazanie wygłosił ks. arcybiskup Sapieha. W imieniu Stronnictwa Narodowego przemawiał czcigodny nasz prezes, prof. Stanisław Głąbiński.

POLAŁY SIĘ ŁZY ME CZYSTE

NAŚLADOWANIA I PARODIE

Jan Brzękowski

ŁŻENIE ŁEZ

uśmiechów dziś nie wyssać z zeschniętych
śladów popod krzaczkami dziecka
piasek paryskich babek
pacierz parysa jabłek
odkąsywany z białych biódr — w zębach zgrzyta
nie pytaj
wszystko to cicha lipa
zgniła lipa
stypa
zbiegają się uda, jak poręcze, w perspektywę wieczności
a słowo z nich nie wyszło
co słowo słowian rodzi
mózg? oczy? serce? humor? chór? tfuj!...
jest słowo — słowo (!)
kelner — gin i wątróbka!
ątróbka
trupka
rób ka
na poezję awangardową!!!

Anna Świrczyńska

ŁZY KROKODYLE

Mam wrażenie, że nigdy w mojem dzieciństwie
ironicznem, jak smak jagody tarniny
nie pomyślałam, że pójdę skakać po cienkiej listwie,
która wiedzie z kostnicy do świątyni.

Iki, krwawniki, gramatyki; najwięcej chyba pamiętam
te krwawniki, co do których sądzę,
że są bardzo ciepłe, spontaniczne niebożęta.
Bydło, byt — apokalipsa i żądze.

Słowo nie stworzy ciała, nawet nie obnaży.
Teraz już wiem, że tylko po rękach i po twarzy
chodzą mi cienie tych kwiatów, a z ich rosy
robię sobie szybkoschnący diadem na włosy.

INT

NA WIDOWNI

O piórach kobiecych. — Co można o nich powiedzieć ze stanowiska socjologicznego, literackiego i psychologicznego.

KIEDY jeszcze jako student zajmowałem się etnografią, zarysował się przedemną problem kobiety... piszącej. Pamiętam w r. 1889 redaktor „Wisły" Karłowicz zlecił mi napisanie artykuliku do ilustracji, która miała pójść na czele zeszytu. Obrazka tego sam dostarczyłem. Był to w całej figurze wizerunek starej kobiety spod Łukowa, Katarzyny Cabaj. Kobiecie tej zawdzięczałem wiele materiału. Sama nie wiedziała o swych bogactwach. Rzec mogę — pompowałem z niej folklor: pieśń za pieśnią, bajka za bajką, przysłowia, gadki. Skarbnicą była tradycyj ludowych. Z mężczyzny tyle bym nie dobył.

To mnie zastanawiało, w artykuliku zaś dając psychologię kobiety wiejskiej, podkreśliłem najsilniej jej przewagę nad mężczyzną na punkcie znajomości serca ludzkiego. Kobieta byłaby bezbronną niewolnicą, gdyby nie miała w ręku nici życia intymnego mężczyzny i w ogóle swego środowiska. Dusza chłopa chodzi światami, babska penetruje wnętrze życia domowego, wnętrze instynktów, aby znaleźć miejsce obronne dla siebie. Strzeże też arki przymierza między dawnemi a nowemi laty, bo tam jest zawarta mądrość serca. Chłop tworzy życie, załatwia jego interesy w zmaganiu się z przyrodą, w targach ze społeczeństwem, filozofuje, improwizuje; baba wie, to istota „wiedząca". Ona wróżką, czarownicą, zamawiaczką. Nazywa się podobno tak nie inaczej, że słychać od niej gdy zamawia: ba-ba-ba...

Tu szukać trza rodowodu talentów kobiecych.

Przyszła potem refleksja — dlaczego folklor polski ma tak znikomy zasób wątków historycznych, bohaterskich, rycerskich. Skłonny byłem przypisywać to słabemu udziałowi mężczyzn w sprawach pielęgnowania powieści; kobiety zaś mało dostępu miały do dziedziny życia publicznego. Przewagi ich trzymają się granic serca prywatnego. Dlaczego folklor podhalański ma w sobie coś orlego? Bo tam w górach twórcą podań jest mężczyzna.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Powyższe punkty widzenia przypomniały mi się na widok książki pani Stefanii Podhorskiej Okołów (redaktorki „Bluszczu"). Książka, wydana nakładem Hoesicka, nosi tytuł „Kobiety piszą". Sam tytuł zastanawia z tego względu, że autorka wprowadza do literatury podział na kobiecą i męską, pomimo że nie mogłaby na innej swojej książce wypisać tytułu: „Mężczyźni piszą". Można ten fakt uznać za prowokowanie krytyki, aby ona ustaliła zasadę tego podziału.

Jest to temat otwarty i niezałatwiony — owa kobiecość pióra, ale gdy będzie załatwiany, to psycholog będzie musiał dla zorientowania się wejrzeć w socjologię tej kwestii i w etnografię. Nie wystarczy przy tem formalne określenie płci. Są kobiety bądź z natury, bądź z kultury należące do typu męskiego, nie brak mężczyzn typu kobiecego. W zbiorze dwunastu essay'ów pani Podhorskiej znajduje się szkic o Kossak-Szczuckiej. Dla niej kobiecość jest etykietą niewłaściwą. Na ogół jednak pod tym względem tytuł odpowiada prawdzie, że idzie o 12 pisarek. Przeważna część (8) oddaje się z powodzeniem powieściopisarstwu. Są to: Orzeszkowa, Rogoszówna, Nałkowska, Dąbrowska, Kossak-Szczucka, Kuncewiczowa, Naglerowa, Szelburg-Zarembina. Cztery zaś są poetkami: Maryla Wolska, Iłłakowiczówna, Maria Pawlikowska, Bronisława Ostrowska.

Jest to, jak widzimy z nazwisk, wybór najznakomitrzych piór z paru pokoleń z organizacją psychiczną najrozmaitszą, tak osobliwą np. w wypadku takim, jak zjawisko Iłłakowiczówny. We wszystkich jednak rysem głównym jest kobiecość właśnie według wzoru mojego, opartego na charakterystyce kobiety polskiej z ludu. Najdogodniejszą dla nich formą tworzenia jest powieść bez motywów społecznych i historycznych. Zawsze studium serca ludzkiego, ale w miarę oddalania się od natury, coraz większe zwężanie życia tego serca do erotyki.

Szkice pani Podhorskiej wprowadzają w błąd tytułem, nie kuszą się bowiem o charakterystykę talentów ze strony kobiecości. Jest to zbiór lektury o charakterze raczej opisowym, z dorywczemi próbami syntezy. Najbardziej syntetyczny szkic poświęciła autorka Orzeszkowej. Sama zaś jest w tej swojej książce trzynastą kobietą.

— — — — — — — — — — — — —

Już po napisaniu tych uwag przeczytałem w czasopiśmie „Polityka" bardzo interesującą rozprawę poświęconą sprawie piór kobiecych. Nosi ona tytuł „Pióra o giętkich stalówkach"; autorem jest jeden z wybitnych pisarzy młodego pokolenia, p Czesław Straszewicz.

Jakie są według niego właściwości pióra kobiecego? Zagadnienie narzuca się krytyce choćby tylko swoją wagą ilościową zjawiska. Kobiety piszące wtargnęły masowo do literatury na zalewających ją falach powieści. W świetle popularnych wyobrażeń o literaturze — literaturą jest powieść, najłatwiejszą zaś postacią powieści jest powieść pióra kobiecego. Nie małego więc znaczenia dla kultury literackiej nabiera pytanie, czy to zapanowanie kobiety nad rynkiem poczytności jest zjawiskiem dodatnim?

Mamy więc nową odmianę wiekuistej kwestii kobiecej. Inaczej ona przedstawiała się w literaturze sto lat temu za panowania idealizmu, gdy kobiety — dajmy na to w Warszawie czy w Poznaniu — jako prawodawczynie obyczaju umysłowego, a więc wtedy jako entuzjastki, usiłowały wyprzedzać mężczyzn w poszukiwaniu tego, co być *powinno*. Była to kampania czytelniczek, z których tu i owdzie wykwitała twórczość jakiejś Żmichowskiej. Mało kobiet pisało do druku, ale wszystkie pisały — listy, dzienniki, pamiętniki. Była to już armia literacka, ciągle się ćwicząca, czekająca na czasy ułatwionego życia i, co za tem idzie, ułatwionej literatury. Ułatwienie zaś takie musiało nastąpić w czasach powieści realistycznej, zdążającej do autentyzmu, do przedstawiania ściśle tego *co jest*. Trudniejsza była sprawa z pisaniem tego, co *być powinno* według ideału.

Straszewicz daleki jest od zamiaru wyszydzania literatury kobiecej; za punkt wyjścia bierze nawet stwierdzenie, że jest to literatura dobra,

Kobiety posiadły sztukę pisania. Książki kobiece bywają bardzo dobre, jeśli chodzi o doskonałość strony formalnej i o sumienność pisarską. Ale tu właśnie nasuwa się pytanie, czy nie za dobre, bo są tak dobre, że „nikt się przeciw nim nie buntuje, nikogo nie urażają". Wiadomo zaś, że nic tak nie uraża, jak nowość. Nowości, szukanie nowych dróg, inicjatywa, zwalczanie fetyszów mody, rewolucyjność pojęć — to wszystko są sprawy ryzykowne. Kobiety idą „na pewniaka" tropem stóp zdobywczego poprzednika, nie mylą się, nie grozi im manowiec. Więc i czytelnik czuje się przy nich bezpieczniejszy. Książki (powieści) kobiece są przez to poczytniejsze od męskich, nie robią bowiem umysłom kłopotu, są strawniejsze.

Prócz daru akomodacji i karności wobec nakazów mody, Straszewicz widzi w zjawisku kobiecości literackiej głębsze właściwości psychiczne, mianowicie pewną ociężałość wyobraźni. Nie wyprzedzają życia, nie dają mu iniciatywy, lecz, jakby pozostając w tyle, delektują się przeżyciami osobistemi, tem co było. Nie zabiegając w przyszłość, nie dbając o szerszy światopogląd, zadawalając się tem, co jest lub było, ściągają literaturę do wklęsłych widnokręgów.

— — — — — — — — — — — —

Oto w paru słowach streszczenie bardzo interesujących spostrzeżeń Straszewicza. Dodać do tego trzeba, że wszystko to dotyczy nie tylko kobiet, ale w ogóle kobiecości, właściwej przecież nieraz osobnikom rodzaju męskiego. Dodam jednak, że kobiecość u mężczyzn pozbawiona bywa zalet natury kobiecej, które i w literaturze stanowią pożądane uzupełnienie twórczości męskiej. Kobiecość talentów u mężczyzn wyraża się w pasorzytnictwie idei i form, nie ma zaś kobiecego serca, które, jak „termos", przechowuje wysoką temperaturę przeżytych uczuć. Jeśli twórca „męski" podaje pokoleniom „*lampadam vitae*" — światłość życia, to natura kobieca przekazuje tego życia ciepło.

W swoim artykule (na początku wspomnianym) wskazałem na przykładzie prostej kobiety wiejskiej, że typowość kobiecości da się określić już w stosunku kobiety do folkloru. Skarbnicą jest pamiątek, geniuszem tajemnicy domowej i dyplomacji domowego współżycia. Wogóle nie ma nic w świecie inspiracyj literackich, czegoby się nie dało dopatrzeć w życiu.

Nie dość na tem. Żeby to zagadnienie napozór literackie jako tako zgłębić, nie dość sięgnąć do stosunków obyczajowych i społecznych. Gdy rzecz tyczy natury człowieka, należy zajrzeć do psychologii.

To, co się wyżej mówiło o pewnego rodzaju bierności natury kobiecej w porównaniu z męską, świadczy — mojem zdaniem — że kobiecość rozporządza mniejszą stosunkowo energią psychiczną. Co to jest ta energia?

Pomóżmy sobie schematycznym obrazem. Duszę ludzką trzeba sobie wyobrazić jako siedlisko zapamiętanych przeżyć. Jednostka postawiona jest przeciwko światu. Wszystko, co ze świata w duszę uderzy, czego ta dusza od świata dozna, zapisuje się w niej, zostaje na składzie jako kapitał pamięci. Część z tego jest bliska świadomości; zapamiętana jest jako wiedza (pamięć organizowana), ale reszta zalega w tajnikach podświadomości. Żyje to jednak, łączy się w związki skojarzeń i stwarza tło uczuciowe duchowości człowieka.

Jest to nurt duchowy bardzo głęboki, opanowany skłonnościami dziedziczonemi, rutynizowany jednostajnemi reakcjami. Tam jest siedlisko instynktów i t. zw. życia intuicyjnego. Podlega zaś ten świat dwu zasadniczym tendencjom: 1) zapamiętywaniu się w doznaniach minionych, 2) czujności na doznania nowe. Pierwsza z tych skłonności (bierna) wytwarza potrzebę duchową rozpamiętywania i delektowania się tem, co było, a w stanie bezświadomym zamienia się w głuchą t ę s k n o t ę, rodzicielkę natchnień lirycznych. Druga skłonność ma w sobie zaród umysłowy poznawania — c i e k a w o ś ć. Ona jest pierwiastkiem czynnym duszy. Wiąże się z nią cała aktywność duszy, idąca naprzeciwko światu, gotowa odbierać wrażenia nowe, odkrywać światy, władać niemi.

Aparat duchowy, uposażony w te dwa bieguny, jest tak cudowny, że obie te słonności są dla siebie wzajemnie niezbędne, bo rzutkość energii psychicznej jest tem większa, im głębsze jest życie podświadomości; nie narastałaby zaś dusza doświadczeniami, gdyby nie owa przedsiębiorczość energii chłonącej nowe życie. Przytem to ważne, że ten pozorny stan bierności — tęsknota, przerzuca się na zdobywczą energię duchową, jako żądza ideału. Tylko prawdziwie męski duch, pełny energii zdobywczej, zdolny jest do wielkich tęsknot metafizycznych.

Zdaje mi się, że krytyka literacka powinna się w takim schemacie psychologicznym — choćby tak poprostu wyłożonym — orientować w wypadkach takich zagadnień, jak ten kobiecy. Nie dotyczy to tylko kobiet: organizacje o słabszej energii psychicznej nie wytrzymują gry, jaką jednostka toczyć musi z otaczającym ją światem. Musi ona mieć nie tylko pogląd na świat, ale i siłę zdobywczą ducha, aby z każdego doznanego od świata bodźca uczynić zdobywczy dla ducha użytek.

Między jednostką a światem toczy się gra podobna modnej do niedawna grze „Ping-Pong". Człowiek odbiera wrażenia i odrzuca światu z twórczym naddatkiem, albo biernie przyjmuje do magazynu rzeczy doznanych, do użytku uczuciowo-ciekawostkowego.

Ciekawość i działanie różną miewa postać:— od popędu zwierzęcego (ciekanie się) aż do zaciekliwości poznawczo-naukowej; wszystko tu nawet podobnie się nazywa, ale przy słabszej energii psychicznej można ciekawość ograniczyć do upodobań oglądania tego co jest lub co było, a twórczość całą zastąpić dokładnem opisaniem przeżyć.

Rozkosz pielęgnowania w pamięci i dobywania z niej rzeczy przeżytych jest wielka. Ta sama rozkosz kapitalizuje się za życia bujnego, jako zasób radości życia. Na tem tle z tem większą ekspansją działa w młodości energia zdobywająca nowość i przyszłość. Widzimy jednak, że z wiekiem, gdy ta energia w grze ze światem słabnie, człowiekowi pozostaje tylko pisanie pamiętników. Robi to z satysfakcją nie mniejszą pewno od tej, jaką daje pisanie powieści, a z większym nieraz pożytkiem.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

„GŁOS LUBELSKI"

WYDAWNICTWO „Głosu Lubelskiego" obchodzi w tym roku 25-ą rocznicę istnienia tego dziennika. Upominać się może o prawa jubileuszu z pełną poczucia swej zasługi dumą, przetrwało bowiem bardzo ciężkie lata wielkiego przełomu politycznego i trwa, rozwijając stale pożyteczną działalność, pomimo, że warunki nie są lżejsze.

Wierny zasadom narodowym, którym hołdowali założyciele pisma, dzielnie pracuje w służbie Obozu narodowego, dając przykład innym miastom prowincjonalnym, jak należy organizować ogniska lokalne zdrowej opinii.

Dzisiejsza redakcja tego pisma, wzorowo pracująca, z chlubą poszczycić się może swoją zasługą. Pismo nietylko trwa, ale rozwija się. W artykule jubileuszowym redaktora czytamy:

W ubiegłym rozszerzyliśmy wydawnictwo, powiększyliśmy jego format, obniżyliśmy jego cenę aby stało się dostępne i dla warstw niezamożnych, w tym roku zaś stare drzewo „Głosu Lubelskiego" wypuściło nowy, młody pęd: „Nowiny Lubelskie", pismo przeznaczone specjalnie dla wsi. Mimo trudnych czasów rozszerzamy zasięg naszych wydawnictw, rozumiejąc, że wymagają one od nas zdwojonej pracy i zdwojonego wysiłku, że właśnie teraz należy szerzyć tym wydatniej Ideę Narodową.

Dwadzieścia pięć lat istnienia „Głosu Lubelskiego", to tyleż lat walki o tę Ideę. Dziś, na tylu odcinkach Idea ta zwycięża, gdy słuszność głoszonych przez nas haseł zdobywa sobie ogólne zrozumienie, gdy zasady narodowe stają się własnością polskiego ogółu — mamy tę radość, że jest w tym cząstka i naszego wysiłku i że „Głos" w ciągu 25 lat spełnił swoje zadanie i obowiązek",

Redakcja „Myśli Narodowej", oceniając z całem rozumieniem rolę i zasługi „Głosu", przesyła wydawnictwu na ręce dzielnego redaktora Brunona Morzyckiego — życzenia dalszej, również pomyślnej pracy.

NAUKA Z SOLCA KUJAWSKIEGO

ZDAWAŁOBY się, że niema nic zwyczajniejszego od sprawy narodowego zjednoczenia. Wszyscy Polacy łączą się wokół organizacji, rozumiejącej naród i umiejącej go najlepiej prowadzić, a organizacja kieruje narodem i rządzi państwem. Niczego więcej do pełnego urzeczywistnienia zjednoczeniowej idei nie trzeba.

Tymczasem dzieje się inaczej.

Zjednoczenie — zamiast być treścią myśli i działań politycznych, staje się formą agitacji jednej partii — Ozonu, który czyni sobie z idei — hasło, a z gorącego pragnienia wszystkich polskich serc—motyw werbunkowy.

Do czego doprowadziło to obniżenie wartości idei zjednoczenia, przekonajmy się z faktu, który w czasie niedawnych wyborów samorządowych na Pomorzu tam nastąpił.

Oto, w niewielkiej mieścinie, w Solcu Kujawskim, utworzono trzy komitety wyborcze o nazwach następujących:

Zjednoczenie Obywatelskie,
Zjednoczenie Gospodarcze (sic!) katolików,
Lista Zjednoczona.

Po wymienieniu, ile każda z tych list otrzymała mandatów—Warszawski Dziennik Narodowy pisze: „Polityczny charakter tych list nie został jeszcze całkowicie wyjaśniony".

Dziś dodać możemy, że nigdy wyjaśniony nie będzie, albowiem każdy z tych komitetów wyborczych—to zlepek ludzi, którzy wybrali będące w obiegu politycznym hasło (wypuszczone przez Ozon), nakleili na swoją listę i pewni, że przynajmniej kilkuset wyborców się na ten kawał złapie—poszli do wyborów.

Zamiast tych trzech „zjednoczeń" potrzebne było w Solcu Kujawskim jedno. Potrzebne było połączenie się wszystkich Polaków przeciw Niemcom i socjalistom, którzy razem uzyskali aż 3 mandaty, na ogólną liczbę 12.

Najbardziej się ludzie dzielą, kiedy gadając o łączeniu, mają na myśli dźwignięcie się na ramionach współbraci.

Z OBCEGO ŚWIATA

W RUMUNII

NOWY WSTRZĄS. W przeciągu jednego tylko roku miała ich Rumunia tak wiele!

Oto w nocy został zastrzelony kulami żandarmów uwięziony przywódca „Żelaznej Gwardii" Zelea Codreanu. On i szesnastu innych kierowników gnębionej represjami organizacji, która — jak się okazuje — istnieje w podziemiach, a żywotność swą potrafi nawet dobitnie udowodnić. Komunikat urzędowy głosi, iż zastrzeleni zostali nocą podczas próby ucieczki a taki komunikat przedmiotem być może dumy rumuńskiej żandarmerii, celność bowiem strzałów zdumiewająca. Co za wysoka klasa strzelców!

Cofnijmy się nieco wstecz. Po szeregu gwałtownych przemian, przerzucaniu kursu polityki z jednego krańca na drugi, zdecydowano się wreszcie w sąsiadującem z nami mocarstwie na t. zw. „rządy autorytatywne", a autorytetem stać się miała korona. Trochę dziwi, że potrzeba było namyślać się długo nad powzięciem takiej właśnie koncepcji, normalnie bowiem, autorytet korony winien być bezsporny. Mało tego. Dla wzmocnienia autorytetu powołano na kierownika rządu patriarchę Mirona Cristea. Wiadomo—zgoda rządu z głową Kościoła w dniach, kiedy wzrasta napięcie uczuć religijnych w narodzie, to wiele. Bardzo nawet wiele. Nieraz jedna enuncjacja może odnieść większy polityczny skutek, aniżeli wieloletnie starania laików. A poza tem udowodnienie czarno na białem, że się przecież dla religii szacunek czuje największy... Masy potrafią ocenić takie stanowisko. Tłum — wiadomo — kieruje się owczym pędem, a naiwny jest jak baranek.

Rządy autorytatywne, złączone sojuszem z patriarchą, zdawały się być ciosem prawdziwym, zadanym fanatycznym gwardzistom, którzy powzięli zuchwałą myśl pracowania nie przeciw Bogu i nie mimo Boga, ale właśnie z Bogiem. Ale siła uderzenia zawiodła, mimo, że poparta była rozwiązaniem „Żelaznej Gwardii", represja-

mi, uwięzieniem przywódców. Przytem niedołężne przejmowanie zasad, których propagowaniem rozwiązana organizacja potrafiła sobie wyrobić olbrzymie wpływy. Najtrudniej było z przyswojeniem programu surowej etyki, który Codreanu wywiesił na swoim sztandarze. I na to znalazł się sposób; przypomnijmy sobie pogłoskę, która obiegła świat: król ma spotkać się z królową. Teraz już Rumunia musi być zadowolona.

Spotkanie jednak nie nastąpiło.

Okazuje się, że tak było trudno przejąć się zasadami narodowemi ludziom trzymającym ster władzy w rękach, jak trudno zgnębić było ruch ideowy.

Oto nagle, po wielu tygodniach od uwięzienia Codreanu, po uprzednim skazaniu go na 10 lat ciężkich robót w kopalni i po uprzedniej próbie podważenia jego autorytetu, cały świat dowiaduje się, że „Żelazna Gwardia“ istnieje. I wtedy właśnie ginie wódz i szesnastu kierowników ruchu.

Czy i ruch tem samem zanikł? Okazuje się, że nie. Liczba aresztowanych w Rumunii sięga olbrzymiej liczby 18 tysięcy osób, a zwolnienie z armii 1200 młodych oficerów, to upust krwi zbyt poważny.

Celem zatarcia wrażenia ostatnich wydarzeń rząd rumuński zapowiada poprawę bytu urzędników i chłopów.

Ale... „Nie samym chlebem człowiek żyje“. O tem chyba muszą wiedzieć rządzący, zwłaszcza, jeśli w harmonii są z patriarchą.

NAUKA I LITERATURA

OSTATNIA KSIĄŻKA Dr. K. M. MORAWSKIEGO

ZNANY, powszechnie ceniony i uważany za autorytet w dziedzinie tajnych związków wywrotowych, badacz masonerii, dr. K. M. Morawski wydał niedawno, razem z jednym z młodych pisarzy antymasońskich, Włodzimierzem Moszczyńskim, nową książkę w tej dziedzinie, zatytułowaną „Co to jest masoneria?“. Dużo już u nas pisano dotychczas o masonerii, w pracach tych jednak była wielka luka, którą właśnie zapełnia niniejsza praca. Lukę tę stanowił brak, że się tak wyrażę, elementarza masońskiego, t. j. książki, któraby w sposób jasny i zwięzły dawała „profanom“ dokładny obraz masonerii, jej organizacji i celów. Zadanie to spełnia właśnie doskonale niniejsza książka, będąca rzeczby można *vade mecum* w tej dziedzinie dla każdego inteligenta, lub przynajmniej dla tego, który za inteligenta nowoczesnego chce uchodzić. Czasy bowiem, gdy można się było bezkarnie śmiać z masonerii, gdy rozmowa na ten temat (jak również i o sprawie żydowskiej) w towarzystwie uchodziła za brak wychowania, za rzecz nieprzyzwoitą, a przynajmniej nieodpowiednią, minęły bezpowrotnie.

Dziś dzięki rozpętanej już burzy sytuacja przedstawia się wręcz przeciwnie i nieuświadomienie w tej dziedzinie uchodzi za obskurantyzm i zacofanie, a najlepiej ogólnie uświadomić może właśnie niniejsza książeczka, jasna, zwięzła, ciekawa i bogato ilustrowana.

Składa się ona z dwóch części, dwóch autorów. Część pierwsza napisana przez W. Moszczyńskiego zajmuje się politycznemi celami masonerii, ich realizacją i strukturą organizacyjną. Autor wskazuje jasno na judeogenezę masonerii, dążność jej do zapanowania nad światem i zniszczenia Kościoła Katolickiego. Bardzo cenną i aktualną obecnie u nas jest rycina przedstawiająca krzyż, a na miejscu Chrystusa żydowską gwiazdę sześcioramienną i miecz krzyżacki. Symbol ten — połączenie krzyża z mieczem, przypomina nam bardzo obecnie propagowany na terenie organizacji katolickich zakon „Krzyża i miecza“, którego celem jest, zdaje się, dokonanie dezorganizacji na tym terenie.

Doskonałemi również są rozdziały traktujące o sprawie rytów i obrządków w masonerii, o żydowskim nadrządzie: genewskiej komedii Ligi Narodów i planach Paneuropy.

Druga część napisana przez dr. K. M. Morawskiego traktuje o roli i charakterystycznych znamionach masonerii w ujęciu historycznem. Autor, wspominając zmarłego historyka francuskiego *Gougenota des Mousseaux*, pisze o kabalistyce i mesjaniźmie żydowskim oraz kolejnych etapach judaizacji chrześcijaństwa (czego niestety nie mogą, czy nie chcą zrozumieć nasi liberalni katolicy). Według dr. Morawskiego pierwsze wpływy kabalistyczne przychodzą do Europy podczas krucjat, a zagnieździły się w zakonach krzyżowych (templariusze, krzyżacy).

Dalszemi etapami tej judeizacji są albigensi (francuscy gnostycy), powstali w Langwedocji zwanej Judeą francuską; po nich przychodzą husyci, a po husytach reformacja, będąca rozkwitem okultyzmu (kabalistyki Reuchlina, astrologii Lutra, tajnych związków Melanchtona i t. d.). Od reformacji ataki judaistyczne na chrześcijaństwo bezustannie, aż do naszych czasów, się powtarzają. Czy to będzie wiek XVII, oświecony różokrzyżowcami, Cromvellem i Komeńskim, czy kabalistyczny wiek oświecenia, parający się magią i alchemią, czy też wiek XIX ze swym renesansem spirytualizmu i powszechną wiosną ludów, czy też i nasz wiek, w którym 10 milionów ludzi w Ameryce para się spirytyzmem.

Chwila decydującej walki się zbliża. Masoneria w niektórych krajach (Włochy, Portugalja), z powodu reakcji katolickiej zaczyna tracić grunt pod nogami, więc stara się za wszelką cenę z jednej strony wywołać nową pożogę wojenną, a z drugiej strony starym zwyczajem rozsadzać chrześcijaństwo od wewnątrz.

Z. Z.

RUCH WYDAWNICZY

Jotgen. Męczennicy (Leje się krew kapłańska za wiarę). Toruń. Wyd. Inrót. Seria: „Czerwone sztandary“, nr. 6. Str. 23.

Niewielka broszurka przynosi, oparte na faktach, przykłady męczeństwa i heroizmu księży katolickich, pomordowanych w Czerwonej Hiszpanii, omawia system oszczerstw, stosowanych u nas względem księży, zbija zarzuty wysuwane wobec nich przez bezbożników.

Podaje ciekawe zestawienia martyrologiczne: cytując za czasopismem *„Lettres de Rome“* z dn. 1/7 b. r., określa cyfrę „zlikwidowanych“ przez dwa lata w Hiszpanii księży, zakonników i zakonnic na 11.000.

To jest celowe i planowe tępienie wodzów armii walczącej o panowanie Chrystusa.

W diecezji Barbastro zamordowano 129 księży, 21 tylko pozostało przy życiu. W diec. Lerida na ogólną liczbę 429 kapłanów wybito 350. W diec. Tortosa zgładzono zgórą 300 księży. Zakonników i zakonnic zginęły także setki: Franciszkanów — 250, Dominikanów zgórą 200, O. O. Serca Marii — 237 i t. d. Samych biskupów hiszpańskich zabito 10. Wspomnijmy i polskiego męczennika, ś. p. ks. Streicha, proboszcza w Luboniu, poległego na posterunku z ręki komunisty.

— Krew męczenników jest nasieniem chrześcijan.

(S. J.)

ZE ŚWIATA MUZYKI

CIENIE I BLASKI

ŚP. STANISŁAWA KORWIN-SZYMANOWSKA.— W OPERZE I FILHARMONII

ŚMIERĆ Stanisławy Korwin-Szymanowskiej odbiła się tragicznem echem w świecie muzycznym całej Polski i za granicą. Odeszła jedna z najmuzykalniejszych naszych śpiewaczek, niezrównana interpretatorka pieśniarstwa współczesnego, a zwłaszcza kompozycji wielkiego jej brata, śp. Karola Szymanowskiego. Zgasła w sile wieku i w pełni blasku świetności.

Wiadomo nam, że ostatnie lata poświęciła Szymanowska pedagogii, dzieląc się z liczną rzeszą swoich słuchaczek zarówno w konserwatorium Katowickiem, jak w Warszawie zdobytą wiedzą i talentem. Zaczęła ona karierę artystyczną wcześnie, a po skończeniu studiów wokalnych w lwowskiej szkole śpiewu Zofii i Marii Kozłowskich wystąpiła w operze tamtejszej w „Opowieściach Hofmana“ Offenbacha. Sukces, jaki osiągnęła Szymanowska tego wieczoru, zaważył na całej dalszej jej działalności artystycznej. Wojnę spędza przymusowo w Szwajcarii, nie wiedząc o tem, że w roku 1918-ym jej ukochana Tymoszówka na Ukrainie staje się łupem czerwonego żołdactwa. Wiadomość o tej stracie stała się pierwszym ciosem, jaki ją przejął do głębi. Wślad za tem idą następne: ruina materialna, śmierć ukochanych braci: Feliksa a ostatnio Karola.

Dziwnem zrządzeniem losu zgon Karola Szymanowskiego nastąpił w tejże samej Lozannie, gdzie w okresie wielkiej wojny Stanisława Szymanowska stawia pierwsze kroki na estradzie zagranicznej. W roku 1920 odbywa, na zaproszenie delegacji pokojowej w Rydze, *turnée* propagandowe po Łotwie, Estonii i Finlandii wraz z młodym naówczas pianistą, Władysławem Burkathem. Wszędzie cieszy się Szymanowska niezwykłem uznaniem krytyki i gorącem przyjęciem przez publiczność. Już wówczas na pierwszym planie jej programów stoją kompozycje polskie, zwłaszcza zaś mistrzowskie wykonanie cyklów pieśni Karola Szymanowskiego. Nikt lepiej od niej nie potrafił oddać nastrojów tych pieśni i egzotyzmu wschodniego „Zulejki“ i „Pieśni muezzina szalonego“, wyrafinowanego piękna „Kołysanki Dzieciątka Jezus“, a później — „Słopiewni“.

W interpretacji Szymanowskiej słyszało się nie tylko walory głosowe śpiewaczki, ale ponad to niezwykłą jej muzykalność, wczucie się w styl każdego z utworów, śpiewanych zwykle w języku oryginału. Dlatego też recitale wokalne, jakie zmarła śpiewaczka dawała co pewien czas w sali Konserwatorium, stały się ucztą prawdziwą dla znawców i wielbicieli pieśniarstwa nowoczesnego. Na sześć tygodni przed niespodziewanym dla nas jej zgonem dała Szymanowska swój ostatni koncert w Katowicach, ciesząc się niebywałem powodzeniem. Była to jednak łabędzia pieśń. Po kilku tygodniach ciężkich cierpień odeszła Stanisława Szymanowska z tego świata, pozostawiając po sobie nietylko serdeczne wspomnienie, ale i opinię jednej z najbardziej utalentowanych polskich pieśniarek.

Wobec tego tragicznego zdarzenia z ostatniego okresu sprawozdawczego dziwnie mało znaczące wydają mi się fakty z muzycznego raptularza.

W Operze, która w sposób godny podziwu wystawiła odnowionego „Fausta“, wystąpił gościnnie czołowy artysta opery łotewskiej w Rydze, p. Adolf Kaktinsz w roli Mefista. Jesteśmy dobrze poinformowani o wysokim poziomie opery ryskiej, o niezwykłym stosunku publiczności do swojej sceny. Nie wiedzieliśmy jednak, ze scena powyższa posiada aż tak znakomitych solistów. Kaktinsz imponuje nam nie tylko głosowo, jego piękny *basso cantante* brzmi jak dzwon a dopełnia wrażenia gra sceniczna. Co więcej, kreacja Mefista nabiera u tego śpiewaka cech monumentalności. Przypomina mi ona naszego wielkiego Didura z czasów jego świetności. To też śpiewak łotewski spotkał się z niezwykle serdecznem przyjęciem publiczności oraz z pełnemi entuzjazmu ocenami krytyki warszawskiej.

W kilka dni po tem nowa premiera w postaci popularnej na Zachodzie operetki, „*Madame Pompadour*“. Zanim napiszemy o niej obszerniej, śpieszymy podkreślić żywe zadowolenie z ukazania się na scenie dawno nie słyszanej Janiny Brochwiczówny, pamiętnej z teatrzyku „8.15“.

W Filharmonii jest do zanotowania kilka wybitnych „piątków“, zwłaszcza zaś ostatni, dyrygowany przez Walerjana Berdiajewa. Tak stylowo wykonanej symfonii Brahmsa i poematu symfonicznego Ryszarda Straussa dawno już nie słyszałem. Bierdiajew, to bezsprzecznie jeden z najlepszych współczesnych dyrygentów. Wielkim sukcesem cieszył się świetnej sławy tenor *Tito Schipa*, rywal naszego Kiepury, posiadający jednak więcej umiaru i o wiele ciekawszy program.

Z mniejszych koncertów zaznaczyć muszę powodzenie p. Kalmenowiczówny (Koncert d-moll Brahmsa) na „poranku“ filharmonicznym, dyrygowanym przez cenionego od lat wielu Józefa Ozimińskiego. Do rzędu rozpoczynających karierę solistów zaliczyłbym p. d-rowę Kapuścińską (uczennicę słynnej Karoliny Pietraszewskiej; słyszałem ją na jednej z audycji szkolnych. Głos piękny, dużo ciepła w interpretacji pieśni polskich. Duże postępy zrobił młody pianista, Wąsowski, jest to jeden z najbardziej obiecujących uczniów naszego Konserwatorium muzycznego.

ASPER

Z TEATRU

MELODRAMAT O PUSZKINIE

KOMEDIOPISARSTWO jest najtrudniejszą ze sztuk literackich. Na uprawianie wielu rodzajów dramatu mogą sobie pozwolić tylko bliskie genialności talenty, jak np. Słowacki, Rostworowski. I to — trzeba przyznać, że Słowacki do najwyższej stosunkowo doskonałości doszedł tylko w specjalnym gatunku dramatu baśniowego o szekspirowskiej formie i podkładzie historiozoficznym. Rostworowskiemu zaś próba krotochwili niezbyt się poszczęściła („Bratnie dusze“). U Słowackiego, trzeba to jeszcze dodać, zmiany w charakterze twórczości wynikały z przemian duchowych poety.

Jeżeli zastanowimy się nad najwybitniejszymi komediopisarzami polskimi naszej epoki, dostrzeżemy uderzające zjawisko daleko posuniętej specjalizacji czy też jednokierunkowości. Pisarze nie błądzą, nie podlegają przełomom osobistym i przeobrażeniom, rzadko eksperymentują, łamania skrzydeł na pionierskich szlakach ryzykować nie lubią, tworzą jednym torem, jednym, że tak powiemy, duchem. Ich twórczość nosi pewne znamiona reprodukcji, obrabiania coraz to nowych tematów temi samemi, zresztą b. dobremi narzędziami.

Przypomnijmy sobie Szaniawskiego (szkoda że mistrz sam się nie przypomina). Ten potężnej miary talent siedzi na jednej gałęzi komediopisarstwa. Nastrojowiec, symbolista („Ptak“, „Most“, „Fortepian“, „Krysia“); poszukiwacz swoistego głębszego sensu w duszach indywiduów i ich stosunkach społecznych; „problematolog“, że się tak mądrze wyrazimy, etyki; stylista pięknie zrównoważony, operujący półtonami, subtelnościami, ekspresją niedomówień, milczenia, kulturalnego zaciśnięcia zębów („Adwokat i róże“).

A czyż Antoni Cwojdziński nie jest przykładem znacznie dalej posuniętej specjalizacji, uprawiania wyłącznie jed-

nego *„genre"*? Nie trzeba tego wykazywać. Wystarczy zestawić tylko tytuły jego sztuk: „Teoria Einsteina", „Freuda teoria snów", „Temperamenty". Stwierdzamy to zjawisko — bynajmniej nie z niechęcią, że tą metodą dorabiamy się oryginalnych i watrościowych utworów.

Jarosław Iwaszkiewicz po „Lecie w Nohant" komedii o Chopinie, daje (wystawioną obecnie w Teatrze Polskim), „Maskaradę", dramat o blaskach i nędzach końcowego okresu życia Puszkina.

Autor przygotował się do pisania solidnie, przestudiowawszy spory szmat historii Rosji i życiorysy Puszkina. Instynkt skierował Iwaszkiewicza do tego ogniska dziejów, gdzie życie jak się to mówi, „samo" stworzyło potężny dramat. Nie było to jednak bynajmniej dzieło sztuki, które by można zagrać na scenie. Ambicją Iwaszkiewicza, jako rasowego twórcy sztuk historycznych, było dochować wierności faktom, wydrzeć przeszłości tajemnice — i z minimalnym użyciem licencji artystycznej zbudować z tego wszystkiego konsekwentne, harmonijne, logiczne i żywe — dzieło sztuki.

Temat przedstawiał jeszcze i tę zaletę, że stosunek Puszkina do cesarza Mikołaja I, pożycie małżeńskie poety i jego śmierć — nie zostały dostatecznie wyjaśnione przez historyków i biografów Puszkina; sprawy te mogą być tylko rozwikłane hypotetycznie, przez snucie wniosków z pewnych poszlak; zresztą dają znaczne pole dla fantazji.

Wiadomo, że Puszkin sprzyjał dekabrystom i przeżył ciężko wyrok śmierci na kilku swych przyjaciół. W młodości był liberałem, dostał się zato na wygnanie do południowych gubernii. W Moskwie w r. 1830 zaręczył się z Natalią Gonczarową, córką mieszczanina, kobietą piękną, ale ze snobizmem, namiętnością do zabaw i strojów, do „wielkiego świata", z żądzą przygód miłosnych, — słowem z pustką w duszy. Fatalna to była żona dla poety. Rujnowała go finansowo, niszczyła moralnie przez awantury w domu i powody do zazdrości.

Car Mikołaj I zakochał się w pani Nathalie. Chcąc wejść z nią w bliższe stosunki, uzależnił od siebie i związał z petersburskim dworem Puszkina. Popłacił jego długi (poeta zarabiał piórem nieźle, ale zgrywał się w karty, pił i żył nad stan, przedewszystkiem zadłużał się dla żony, którą namiętnie kochał) — dał mu pensję i tytuł szambelana.

Jednakże intryga cesarka przeciwko Puszkinowi, której mimowolnym czy świadomym narzędziem stał się d'Anthés, emigrant francuski z 1830 r. — należy już raczej do sfery przypuszczeń. Dosyć to jednak prawdopodobna hipoteza, że to car wplątał Puszkina w intrygę i anonimami sprowokował go do awantury z d'Anthès'em, licząc na to, że będzie pojedynek, w którym Puszkin zginie. Bo poeta, nieobliczalny w gwałtownych wybuchach dumy, gotów był do oczu samego cesarza skakać o cześć swej małżonki — i kto wie, czy nie skakał.

Z tej intrygi zrobił Iwaszkiewicz oś akcji swego dramatu. Dorobił podłoże głębokie, rozsnuł równolegle do tarapatów familijnych i erotycznych, refleksje historiozoficzne o Rosji; nasunął tu i ówdzie na myśl, że dramat Puszkina jest tylko wykładnikiem jakiejś niesamowitej walki potęg obszaru rosyjskiego i jego europejsko-azjatyckiej cywilizacji. Do apogeum dochodzi owo „pogłębianie" i uogólnianie problemu w ostatnich słowach dramatu: czy jest gdzie na ziemi kraj, w którym by mógł żyć poeta?

Z aktu I-go i wogóle ze sztuki możnaby usunąć „nianię", która wprowadza epizody nudnawe. Gdybyśmy pisali dramat o Sieroszewskim, to co innego. Ale w życiu Puszkina niania nie odegrała tak ważnej roli. Zresztą I akt jest pełen treści, zawiązków dramatycznych, dobrze charakteryzuje osobowość i sytuację Puszkina, jak również środowisko. Najlepszy jest akt II. Silne robi wrażenie moment kulminacyjny: rozmowa cara z poetą, majstersztyk ekspresji dramatycznej, chociaż antagonizm ideowy dudantów dialogu jest w istocie nieco pospolity i nieco mętny. Nastrój trochę słabnie w akcie III. (coprawda nie nadzwyczajnie wyreżyserowanym). Wypełniają go przeważnie epizody, rozmowy Puszkina, jego refleksje poetyckie i przeczucia, krzątanina jego przyjaciół, chcących go jakoś ratować, wreszcie fragmenty taneczne. Mocna pointe'a, która jest niemałą zaletą talentu Iwaszkiewicza i tutaj go nie zawodzi.

Jeszcze więcej „dłużyzn" ma akt IV. Akcji już nic nie pozostało, Puszkin kona. Nic już ważnego nie może się stać przy jego łożu śmiertelnym, do którego z woli pisarza przyszli wszyscy główni aktorzy dramatu. Sceny są melodramatyczne, trudne dla reżysera (jedyny ratunek: skracać, rzecz i tak kończy się późno po g. 23-ej), kłopotliwe dla artystów, żenujące — dla publiczności. Akt ostatni kończy się właściwie kilka razy i to w sposób raczej retoryczny. Nic więc dziwnego, że kurtyna opada przy słabym już zainteresowaniu sali.

Naogół przecież „Maskarada" jest utworem wybitnym, znamionującym, od okresu „Lata w Nohant" dalszy poważny rozwój talentu Iwaszkiewicza. Wspaniała jest postać Puszkina. Dobre są, żywe i wyraziste, nieraz kontrastowo ugrupowane, charakterystyki innych osób. Dialogi dynamiczne i sugestywne. Tempo — tam gdzie na to pozwalało samo założenie akcji, utrzymane w odpowiednim rytmie. Nieco gorzej — z dowcipem, ale to uchodzi w tonacji melodramatycznej.

Wykonawcy nie dokazali cudów, ale grali poprawnie. Zwłaszcza w dobre ręce dostały się główne role. Jan Kreczmar gra Mikołaja I. Marian Wyrzykowski — Puszkina. Rolę Nathalie, żony poety powierzono, zapewne z uwagi na urodę — Jadwidze Smosarskiej. Nina Andryczówna popisuje się łagodnością i wdziękiem w roli Alexandrine.

T. D.

ZMARLI

Ś. P. WILHELM BRUCHNALSKI

WE LWOWIE zmarł w dn. 6 bm. ś.p. dr. Wilhelm Bruchnalski, honorowy profesor historii literatury polskiej Uniwersytetu J. K., doktór *honoris causa* Uniw. S. B. w Wilnie, w r. 1933 laureat nagrody literackiej m. Lwowa, w latach 1912—1917 nieprzerwanie dziekan wzgl. urzędujący prodziekan ówczesnego wydz. filozoficznego U. J. K.

Ś. p. prof. Bruchnalski urodził się w roku 1859 we Lwowie, tu ukończył gimnazjum oraz wydziały prawa i filozefii na U. J. K. Był długoletnim skryptorem i bibliotekarzem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, a następnie objął katedrę historii literatury polskiej.

Był seniorem polonistów. Na polu badań historyczno-literackich położył znakomite zasługi, a jako profesor był wychowawcą kilku pokoleń badaczy i nauczycieli literatury polskiej. Wybitne znaczenie naukowe mają badania prof. Bruchnalskiego nad literaturą średniowieczną i renesansową, nad twórczością Reja, Kochanowskiego i Mickiewicza oraz nad zapoczątkowaną przez niego historią czasopiśmiennictwa polskiego. — Historia „Gazety Lwowskiej" i jej literackiego dodatku „Rozmaitości" była pierwszem dziełem naukowem z tego zakresu. Wydał i komentował dzieła Mickiewicza, pisząc szereg rozpraw, dzieła o wersyfikacji Kochanowskiego, o „Myszeidzie" Krasickiego, studia nad Bogurodzicą, o panegirykach polskich, o epistolografii polskiej i wiele innych.

Był członkiem czynnym Polskiej Akademii Umiejętności i członkiem honorowym Pol. Tow. Historycznego i T-wa Literackiego im. Mickiewicza, członkiem zwyczajnym Warszawskiego T-wa Nauk i T-wa Naukowego we Lwowie. Pisał szereg artykułów naukowych w czasopismach niemieckich, angielskich i rosyjskich.

Śp. Bruchnalski gorącym był patriotą, z przekonań politycznych należał do Stronnictwa Narodowego. Cieszył się w kołach naukowych i wśród młodzieży uniwersyteckiej ogólną sympatią, jako człowiek dobrotliwy i prawy. O sympatii tej świadczył uroczysty pogrzeb.

Pochowany na cmentarzu Łyczakowskim. Nad trumną przemawiali: dziekan prof. Czerny od Uniwersytetu Jana Kazimierza. Od innych instytucyj i uniwersytetów — profesorowie: Ludwik Bernacki, Kaz. Kolbuszewski, W. Borowy, M. Kriedl.

NOWE KSIĄŻKI

Łempicki Jan. Historiozofia Hipolita Taine'a. Kraków 1938. Skład gł. w Kasie im. Mianowskiego. Str. 180.

Mariański J. Zamach. Powieść. Pelplin 1938. Nakładem autora.

Marchołt, listopad—grudzień.

Noakowskiemu Łowicz (Jednodniówka. Wyd. luks. z ilustracjami). Redaktor Zygm. Pągowski. (Wyd. szeregu stowarzyszeń łowickich). Druk T. Bączkowskiego w Łowiczu.

Iłłakowiczówna Kazimiera. Ścieżką obok drogi. Warsz. 1939. „Rój".

Ludwig Emil. Nil. Życiorys rzeki. 2 tomy. Warsz. 1939. Książnica Atlas. T. I str. 416, 29 ilustr., 2 mapy; t. II str. 388 i 3 mapy.

Wardasówna Maria. W śniegu i słońcu. Powieść narciarska. 1939. U św. Wojciecha w Warszawie. Z ilustr.

Asnyk Adam. Pisma. Poprzedził życiorysem i przedmową Ign. Chrzanowski. Wydał, objaśnił i opatrzył ilustr. Henryk Schipper. Tom I Poezje. Warsz. 1938. Nasza Księg.

Weydlich Kazim. dr. Tęczowy sztandar spółdzielczy. Podręcznik. Poznań 1938. Księg. św. Wojciecha. Str. 180

Rubczyński W. dr. prof. Problem kształtowania charakteru. Poznań 1938. Księg. św. Wojciecha. Str. 128.

Koneczny Feliks. Kościół jako polityczny wychowawca narodu. Warszawa 1938. Arch. Instytut Akcji Katol. Str. 43.

Bieniasz Józef. Leśne wygi. Powieść. Lwów 1939. Krawczyński.

*

Księgarnia Gebethnera i Wolffa wydała na gwiazdkę:

Nowakowski Zygmunt. Pan i służba. Powieść.

Kann Maria. Jutro będzie słońce. Powieść.

Perkitny Tadeusz. Z setką złotych naokoło świata. Z 25 ilustr.

Kossak Zofia. Gród nad jeziorem.

Zarembina-Szelburg Ewa. Dzieci miasta. Z ilustracjami.

Makuszyński i Walentynowicz. Wanda leży w naszej ziemi. Ilustr.

NA MARGINESIE

Swift w swoich „Podróżach Guliwera" opisuje akademię, którą zwiedził w nieznanym dotąd kraju. Była to Akademia Planowania. W sekcji chemicznej dano tam uczonym chemikom zadanie, aby z wydzielin ludzkich odtwarzali (rekonstruowali) zjedzony produkt. Widział więc doskonale odtworzony kalafior, w innym wypadku kurę...

W ten sposób zatrudnić można pożytecznie chemików, a z drugiej strony stworzyć system ewidencyjny, jak żywi się ludność i odpowiednio zastosować podatek odchodowy.

Przy szerszem zastosowaniu system renowacji mógłby zrobić przewrót w życiu ekonomicznem, produkty bowiem stały by się niezniszczalne i przez to bardzoby staniały.

Czas odnowić przedpłatę na r. 1939

PO ZNIŻONEJ CENIE

dla czytelników „Myśli Narodowej"

nabywać można w Administracji lub w redakcji „Myśli Narodowej" następujące książki

ZYGMUNTA WASILEWSKIEGO

1. Aspazja i Alcybiades . . . . „ 2.50
2. Pieśń w górach . . . . „ 2.50
3. Wnukom o prapradziadku . . . „ 1.50
4. O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej 2—
5. Z życia poety romantycznego (S. Goszczyński) 1.50

(Na koszta przesyłki trzeba doliczać 10%)

WACŁAW SOBIESKI

DZIEJE POLSKI

w 3 tomach

wydanie drugie znacznie powiększone.

Już wyszły z druku wszystkie 3 tomy i są do nabycia w księgarniach i u wydawcy.

Cena za 3 tomy — 17 zł. bez opr.

23 zł. w oprawie.

UWAGA: Przy zakupach bezpośrednich u nadawcy koszt przesyłki obciąża wydawnictwo. PP. Nauczyciele, młodzież szkolna, stowarzyszenia oświatowo-kulturalne i zrzeszenia pracownicze bezpośrednio u nakładcy płacą 16 zł. i 20 gr.

Adres: Warszawa, Wydawnictwo „ZORZA"

Al. Jerozolimska 17. P.K.O. 501.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.